

## TONY ARRARAH

Tony Arrarah był Libańczykiem. Pochodził z górskiej wioski niedaleko od Bejrutu, dodać należy: z chrześcijańskiej wioski. Przyjechał do Adelaide wraz z rodzicami i braćmi, gdy miał trzynaście lat, tuż przed wybuchem wojny domowej w latach siedemdziesiątych. W domu rozmawiano tylko po arabsku, ale Tony poszedł zaraz do szkoły i szybko nabrał akcentu australijskiego.

Poznałem go w 2006 roku, gdy mieszkał już na Gold Coast. Był niewysokiego wzrostu, miał nabrzmiałą twarz, siwiejące kędzierzawe, czarne włosy, podwójny podbródek i wielki brzuch, na którym opinała się koszulka polo od Bossa. Walczył z otyłością, codziennie wczesnym ranem wychodząc na plażę w Broadbeach i forsownie maszerując wzdłuż brzegu, aż do Surfers Paradise i z powrotem. Spacer przy wschodzącym z morza słońcu zajmował mu zwykle półtorej godziny. Potem wracał do domu i zjadał obfite śniadanie: dwa kawały pieczonej wieprzowiny z grubą warstwą słoniny, do tego sałatkę z gotowanych ziemniaków w majonezie, zakrapianych śmietaną, potężną porcją coleslawu. Wypijał piwo, czasem dwa i oddawał się lekturze swej ulubionej gazety – „Gold Coast Bulletin”. Zaczynał od piątej strony, na której znajdowała się kronika kryminalna, redagowana przez jego córkę, Lindę, absolwentkę dziennikarstwa na Griffith University. Linda skończyła także kryminalistykę, stąd w redakcji powierzono jej kronikę policyjną. Tony był z córki bardzo dumny, gdyż sam zakończył edukację na dziesiątej klasie high school i dłuższe wyrazy czytał z trudem.

Po lekturze włączał telewizor i przerzucał pilotem kanały arabskich stacji, płynących z ogromnego dysku satelitarnego, który znajdował się w ogrodzie. Tak zastawała go pora lunchu, dodać należy: obfitego lunchu. Zarówno śniadanie, jak i lunch przyrządzał sam, gdyż miał niezwykle zdolności kulinarne.

Jego żona, Sarah, także Libanka, była już w tym czasie w pracy, tłumacząc dosłownie z angielskiego, w „salonie paznokci”, w centrum handlowym Oasis w Broadbeach. Zatrudniała trzy kobiety i wraz z nimi, przy małych stolikach ustawionych obok siebie, piłowała, malowała, zmywała, przedłużała, skracala, wedle życzenia, paznokcie klientek. Zarabiała na tym krocie, bo i klientki były zamożne, i moda na paznokcie wszechogarniająca całe Gold Coast i wszystkie inne miasta tego kraju.

Po lunchu Tony zmywał naczynia, po czym wypijał piwo i siadając w głębokim fotelu z wysięgnikiem na nogi, zapadał w popołudniową drzemkę. W ten sposób spalał się w jego organizmie nadmiar śniadaniowo-lunchowych kalorii. Budził się na dźwięk alarmu wibrującego w jego komórce o godzinie czternastej. Czas był zbierać się do pracy.

Poznałem go w jego pizzerii w Labrador. Pewnego wieczora wszedłem do baru i poprosiłem o pracę. Tony, stojący za ladą, spojrzał na mnie uważnie swymi czarnymi okrągłymi oczami i po chwili rzekł:

- Można na ciebie liczyć? Nie zawiedziesz mnie? Nie będziesz się spóźniał? Nie będziesz brał nagle niezapowiedzianych wolnych dni?

- Daj mi pracę, to się przekonasz – odparłem poważnie.

Tony zatrudniał tylko młode dziewczęta, najczęściej studentki pobliskiego Griffith University. Początkowo nie mogłem zrozumieć, do czego potrzebował mnie, niemłodego już faceta. Z czasem stało się jednak jasne, że z dwóch powodów: potrzebował męskiego świadka i prawej ręki. Zostałem jego asystentem. Miałem pracować od godziny siedemnastej do dwudziestej drugiej. Miały to być dla mnie, jak się okazało, godziny nie tyle zarobkowania, co bacznej obserwacji poczyznań Tony'ego.

Nazajutrz stawilem się w pizzerii punktualnie o siedemnastej. Był to piątek, najruchliwszy dzień tygodnia. Tony przedstawił mnie Astrid, dwudziestoletniej studentce hotelarstwa z Hongkongu.

- Astrid ma chłopaka w Hongkongu. Szkoda – powiedział jakby do mnie, lecz patrzył jej prosto w oczy. Gdy się odwróciła, przeniósł wzrok na jej obcisłe dżinsy, po czym uśmiechając się, spojrzął na mnie. Zdezorientowany odwróciłem pośpiesznie wzrok.

Oprócz Astrid była także obecna Gil, studentka drugiego roku pielęgniarstwa.

- Gil pochodzi ze wsi – przedstawił ją mnie. - Jej rodzice mają farmę kurczaków po drugiej stronie Tamborine Mountains. Majętni ludzie, bardzo majątni.

- Ale sknery! – rzuciła Gil, podając mi dłoń.

- Jednak płacą za twoje studia – skwitował Tony, zaglądając jej pod dekolt koszulki, mocno wycięty. – Nie możesz narzekać.

- Niedawno zepsuła mi się komórka – ciągnęła Gil. – Poprosiłam starego, aby kupił mi nową. Odpowiedział: „A na co ci komórka?”

- Masz ładny samochód – upierał się przy swoim Tony, nie odrywając wzroku od dekoltu. – Kupili ci rodzice?

- Jest zarejestrowany na starego. W każdej chwili może mi go odebrać, gdy zrobię coś nie po jego myśli. To tyran!

Gdy Gil odeszła na zaplecze kuchni, Tony podszedł do mnie i szepnął mi do ucha:

- Zauważyłeś, że Gil nie nosi stanika? – zaśmiał się rubasznie.

A więc byłem w domu! Erotoman. Starzejący się erotoman, pomyślałem.

Następna do przedstawienia była Juliette, Amerykanka z Nowego Jorku, która studiowała na Griffith psychologię.

- Amerykanki mają wysokie poczucie własnej wartości – przedstawił mi ją Tony.

- Praktycznie jestem perfekt – powiedziała Juliette swym jankeskim akcentem. Tony odwrócił się plecami, nie patrząc ani na jej dekolt, którego nie było, ani na krótką spódniczkę, która ciasno opinała kształty. Odwrócił się, gdyż właśnie w tej chwili stanął przed ladą klient.

- Czym mogę służyć – zwrócił się do niego usłużnym głosem restauratora. Ten zamówił pizzę „ze wszystkim”, specjalność baru, oraz fettucini carbonara na wynos. Tony przystąpił do dzieła, polecając mi jednocześnie, abym szybko przestudiował cennik menu i zajął się na razie tylko odbieraniem telefonów. W resztę obowiązków wtajemniczy mnie później.

Po pierwszym kliencie pojawił się następny, potem kolejny, a po nim zaczął się tłumny piątkowy wieczór. Aż do godziny dwudziestej czekało w kolejce przed ladą, w każdym momencie, od kilku do kilkunastu osób. Tony przyrządzał pizze, Juliette uwijała się przy daniach makaronowych, Astrid obsługiwała klientów za ladą, Gil

wraz ze mną odbierała telefony. Ktokolwiek miał wolną chwilę, udawał się do kuchni, by ciąć na plastry paprykę, ser, boczek, pepperoni, cebulę, otwierać puszkę z ananasami, sosem pomidorowym, oliwkami i zaopatrując w to wszystko Tony'ego, który od czasu do czasu prosił o więcej.

Dopiero o dwudziestej nawała klientów zelżała. Wszyscy byliśmy już trochę zmęczeni pośpiechem wykonywania rutynowych czynności.

- Czas na kawę – zarządził Tony, gdy wyszedł ostatni na razie klient. Gil ustawiła na stole w kuchni pięć kubków, do których nasypała kawy i cukru, i nastawiła wodę w elektrycznym czajniku. Tony usiadł w swoim fotelu i zaczął przeglądać wiadomości SMS w komórce, których dotąd nie miał czasu sprawdzić. Dziewczeta usiadły wokół niego na wysokich krzesłach, a ja stanąłem wśród nich, czekając na kawę. Po paru minutach woda była zagotowana i Gil zalała kubki.

Nagle Tony zaczął się głośno śmiać, czytając SMS na ekraniku komórki. Gdy się uspokoił, przeczytał głośno. Był to sprośny żart, z wyszczególnieniem damskich i męskich części ciała. Wcale nie zabawny, jak na moje poczucie humoru. Dziewczeta też nie okazały zainteresowania. Tony był niepokieszony.

- Z kim ja muszę pracować? Pracownicy bez poczucia humoru – powiedział niby do siebie, po czym zamknął wieko komórki i na moment utkwiał wzrok na gołym udzie Juliette, która siedziała naprzeciwko, z nogą założoną na nogę tak, że kusa spódniczka stała się jeszcze krótsza. – W Libanie tak byś się nie nosiła – powiedział po chwili. – Ludzie by cię ukamienowali, zwłaszcza muzułmanie.

- Sam jesteś muzułmaninem – odcięła się Juliette.

- Ależ skąd! – poruszył się w fotelu i wyjął spod koszulki duży złoty krzyż na ciężkim łańcuchu. Przez chwilę potrząsał nim w dłoni. – Jestem ortodoksyjnym chrześcijaninem! A muzułmanie to fanatycy. To oni doprowadzili do wojny w Libanie. Nienawidzę ich! – zamilkł na chwilę, schował krzyż pod koszulkę i zapytał: - Wierzysz w Boga?

- Jestem niewierząca – odparła Juliette.

- Nie wierzysz w Boga? – zdziwił się. – To gdzie pójdziesz po śmierci? Do piekła! Będziesz się męczyć przez wieczność.

- Skoro jestem niewierząca, nie wierzę też w piekło ani w niebo, ani w Boga.

- Jeśli nie ma Boga, to kto stworzył ten świat, wszechświat, ziemię, niebo, gwiazdy, słońce?

- Wyjaśnia to teoria Wielkiego Wybuchu – powiedziała Juliette.

- Wielkiego Wybuchu, Wielkiego Wybuchu. Bzdura! Bez Boga nie byłoby życia. Wszystkie nieszczęścia przychodzą od muzułmanów i ateistów. Już Biblia mówi, że kiedyś ludzie żyli po pięćset, sześćset lat. A teraz? Jak dożyjesz osiemdziesiątki to i tak dobrze. To wina muzułmanów i ateistów!

Juliette nie odpowiedziała, zanurzając usta w kawie. Do rozmowy włączyła się Astrid:

- Ja wierzę w Boga, ale nie w twojego. Jestem buddystką, jak większość Chińczyków w Hongkongu. My też mamy piekło, ale jedenastopoziomowe. Od tego, jak prowadzisz swoje kolejne życie na ziemi, zależy, na który poziom trafisz.

- Jeden jest Bóg wszechmogący – oświadczył Tony. – Jedno jest piekło i jedno niebo. Jedno jest krótkie życie na ziemi i dla pobożnych, prawych chrześcijan - wieczność w niebie.

- My wierzymy w siedem wcieleń na ziemi. W następnym życiu mogę urodzić się zwierzęciem, jaszczurką, na przykład. Dlatego buddyści są wegetarianami i nie zabijają zwierząt.

Tony machnął ręką na znak, że się z Astrid nie zgadza, po czym zwrócił się do mnie:

- A ty, Rafał, wierzysz w Boga?

- Urodziłem się katolikiem, ale z czasem odszedłem z Kościoła.

- To dobrze, bo katolicy są nie lepsi od muzułmanów. Tak samo jak żydzi.

Powinieneś wstąpić do Kościoła ortodoksyjnego.

W drzwiach do baru odezwał się elektroniczny brzęczyk. Do środka wszedł klient. Nie chcąc dyskutować z Tony'm, wykorzystałem moment i udałem się za ladę.

- Czego sobie pan życzy, Sir? – zapytałem grzecznie mężczyznę w średnim wieku, biorąc do ręki długopis i notes, aby przyjąć zamówienie.

- Czy jest Tony? – zapytał z silnym obcym akcentem.

- Zaraz go poproszę – udałem się na zaplecze. Mężczyzna podążył za mną.

- Ahmed! Jak się masz? Tak się cieszę. Nie widziałem cię całe wieki! – wstał z fotela Tony i podszedł do mężczyzny, aby ucisnąć wyciągniętą dłoń. Zaczęli rozmawiać po arabsku i oddalili się w kierunku stolików i krzeseł w głównym pomieszczeniu, tuż przy drzwiach wejściowych.

Spojrzałem na dziewczęta. Juliette w milczeniu piła kawę. Zauważyła mój wzrok.

- Tony to zwykły fanatyk – rzuciła. – Nie ma w nim ani krzty tolerancji dla innych. To było powszechne w Europie w rozmodlonym średniowieczu, nawet w USA w pierwszym stuleciu istnienia, ale nie w XXI wieku, zwłaszcza w wielokulturowej i wieloreligijnej Australii.

Podzielałem jej zdanie, ale w moim pierwszym dniu pracy nie chciałem wyrażać się niepochlebnie o nowym szefie, tym bardziej że nie znałem prawdziwych stosunków panujących pomiędzy Tony'm a dziewczętami. Może któraś z nich była donosicielką? Na wszelki wypadek zmieniłem temat, zwracając się do Astrid:

- Wiesz, że moja żona też jest Chinką i też buddystką?

- Naprawdę? – wyraźnie się ucieszyła. – Z Hongkongu?

- Urodziła się w Malezji, ale tak jak ty mówi po kantońsku, bo jej pradziadek pochodził z tych stron.

- Ja też mam krewnych w Malezji. Byłam u nich w Johor w zeszłym roku na wakacjach.

Wdaliśmy się w rozmowę o Johor, południowej prowincji Malezji, na granicy z Singapurem, gdzie i ja postawiłem swoją stopę. Juliette i Gil zaczęły się nam przysłuchiwać. Od strony stolików przy wejściu dobiegała głośna rozmowa po arabsku i co chwila wybuchał gromki śmiech.

Dokończyliśmy picie kawy. W międzyczasie w barze pojawił się następny klient. Gil poszła go obsłużyć, po czym wezwała Tony'ego, by zrobił pizzę. Tony musiał przerwać rozmowę z Ahmedem. Gdy włożył gotową pizzę do pieca, wrócił do stolika, by kontynuować dyskusję. Ta sytuacja powtarzała się jeszcze kilka razy, aż zbliżyła się godzina dwudziesta druga, czas zamknięcia baru. Ahmed, pożegnawszy się z Tony'm, wyszedł udając się do swojego samochodu. Dziewczęta w pośpiechu zaczęły sprzątać, a Tony zbliżył się do mnie i powiedział:

- To mój rodak. Przyszedł prosić o pracę, ale ja swoich nie zatrudniam, taką mam zasadę. Poza tym to muzułmanin.

- Dlaczego?

- Złe doświadczenia. Kiedyś, jeszcze w Adelaide, gdy miałem sieć pizzerii, zatrudniałem samych Libańczyków. Rozumiesz, taki patriotyczny obowiązek. Ale za bardzo spoufalali się, ciągle chcieli dostawać zaliczki na tydzień z góry, pożyczali pieniądze i nie oddawali na czas. Na co mi to było? Zresztą, aby odsunąć się od całej diaspory i tym bardziej od krewnych, wyjechałem z rodziną na Gold Coast. Od tej pory mam spokój, a jak chcę zobaczyć ojca, matkę, braci, wsiadam w samolot i lecę na dwa-trzy dni. To mi wystarcza. Nikt nie wtrąca się w moje życie. A tak naprawdę lubię zatrudniać studentki w mini spódniczkach i obcisłych dżinsach – zaśmiał się krótko. - Jest na czym zawiesić oko, sam zauważyłeś, prawda?

Przytaknąłem ruchem głowy.

- I ty też trzymaj się z dala od swoich. Radzę ci dobrze – dodał.

- Na Gold Coast jest mało Polaków, jesteśmy niezorganizowani, trudno się spotkać wzajemnie. Może tylko w kościele Stella Maris w Broadbeach, ale ja do kościoła nie chodzę.

- I bardzo dobrze, że trzymasz się daleko od katolików. Kiedyś, w niedzielę zabiorę cię do kościoła ortodoksyjnego. Od razu zobaczysz różnicę. Trzymaj ze mną, a daleko zajdziesz.

U Tony'ego pracowałem rok. Poznałem go dobrze. Potwierdziły się prawie wszystkie moje przypuszczenia z tego pierwszego wieczora. Z czasem poznałem też jego najskrytszy sekret. Dziewczęta odchodziły zadziwiająco szybko. Przez ten rok przewinęło się ich kilkanaście. Warunkiem otrzymania pracy przez następne było przespanie się z Tony'm i świadczenie mu usług seksualnych aż do czasu zwolnienia. Mnie trzymał, jak wspomniałem, jako męskiego świadka swych podbojów. Któregoś dnia zapytał, czy moja żona, która właśnie straciła posadę w agencji reklamowej i byliśmy w biedzie, potrzebuje pracy. Wtedy odszedłem.

**Rafał Klunder**